Nr 12. Kraków 23 marca 1867. Rok II.

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., — *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocz.* 7 złr. 20 c. *półrocz.* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocz.* 90 c. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *T. Kochańskiego*.
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny“, albo *osobno* kosztuje rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr, — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można przez księgarnią Fr. Grzybowskiego w Krakowie — a za pośrednictwem wszystkich księgarni.

Druk BIBLIOTEKI dla Kobiet już się rozpoczął,

atoli kwartał liczyć się będzie dopiero od 1go kwietnia. Kto nadesłał półroczną prenumeratę, ma zatém zapłaconą Bibliotekę, aż do końca września, czyli 25 arkuszy. *Od kwietnia rozpocznie się rozsełka* pierwszych zeszytów, a mianowicie: „*Wybór pism pani Sevigne*“.

Sądzimy, że rozpoczynając „Bibliotekę“ od p. Sévigné, uczynimy prawdziwą przyjemność Szan. Czytelniczkom. Pisma jéj należą bowiem do najcelniejszych wzorów prozy w literaturze francuskiéj, odznaczają się zarówno wdziękiem treści jak i powabami stylu; corocznie pojawiają się nowe ich wydania, zkąd można wnioskować, jak upowszechnioną są lekturą. My jednak nie posiadaliśmy dotąd żadnego ich przekładu.

Należy się spodziewać, że po ustaniu karnawałowych godów, umysły poważniéj usposobione, zechcą się téż więcéj zająć poważniejszą lekturą, że więc *z odnowieniem prenumeraty na „Kalinę“* przybędzie i na

„Bibliotekę dla kobiet“

ilość prenumeraty dostateczna do ustalenia tak pożytecznego wydawnictwa.

Kartki o wychowaniu.

przez

Teresę Jüpner.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Ilekroć zastanawiam się nad wychowaniem, przypominam sobie zawsze Manię C., i rozmyślam, czy téż to dziecię stanie się kiedyś kobietą wielkiego serca i umysłu, do czego wszelkie posiada przymioty? Pamiętam, gdy pewnego dnia przybył do jéj ojca w odwiedziny stary, biedny żołnierz, dawny jego kolega, Mania mająca wtedy 8 lat, pobiegła zaraz do ogrodu, uwiła piękny bukiecik i z radosną twarzyczką przyniosła mu go w darze. Starzec zadziwił się zkąd taka łaska, a ona odpowiedziała mu z całą naiwnością, że ona wie, że jéj dziadek jenerał żyje gdzieś daleko, sam, pomiędzy obcymi, bez nadziei oglądania jeszcze swojego kraju i swoich; toż przez pamięć na dziadka, radaby usłużyć czém może każdemu staremu żołnierzowi.

Ileż to u nas dzieci tego rodzaju! Można powiedzieć, że wszystkie ich skłonności są już z góry nacechowane dobrocią, cierpliwością, poświęceniem. Jest to oddziaływanie ogólnego smutku i boleści. Kto cierpiał, kogo obdarto, ten umie pojąć i współczuć wszystkie straty i dolegliwości drugich. Smutek matek i doświadczona ich dusza promienieje i prześwieca przez szlachetne postacie ich córek.

I niejestże to umyślna zguba powierzać stworzenia, które święte iskry ożywiają, osobom obcym, nieraz niechętnym, nieraz przekornym, a w ogóle niezdolnym do rozniecania owych iskier, bo im samym brak serdecznego ciepła i tego bezpośredniego, niemal instynktowego poczucia dla wszystkiego co narodowe i co naturalne.

Po kilku latach takiego niby wychowania, latach nacechowanych przymusem, ciągłą podjazdową wojną z boną lub guwernantką i skrzywianiem pierwotnego usposobienia, nadchodzi zwykle chwila ocknienia się; młoda dusza otrząsa się z przymusów i rzuca się na serjo do pracy. Jest to prawdziwa febra, wszystkiego naraz się uczyć, wszystko czytać, i nauki, i robótki, i sztuki piękne; już się wtedy nawet nie śpi. Niedawno temu prosta arytmetyka wydawała się nie do pojęcia,— teraz zachciewa się astronomii; przy rozmowach w obcych językach spało się nawet stojąc, teraz pojawiają się w teczce francuskie wiersze własnego wyrobu; gamy i ćwiczenia były najsroższym postrachem, teraz ubija się najtrudniejsze kompozycje. Siła życia przebudziła się i rzuca się naoślep, bo jéj nie nauczono chodzić; chce i pragnie, ale sama nie wie czego. I tak straciwszy ze sześć lat, idzie potém o to, żeby w roku, lub najdaléj w dwóch nabyć wykształcenie świetne, dokończyć wychowanie.

Ale téż wtedy nadchodzi i chwila, kiedy młodym osobom świat poczyna się uśmiechać; wymagania toalety stają wkrótce na pierwszém miejscu; wszelkie przybory naukowe zostają na boku; towarzystwa, wieczory, pobudzają marzenia o przyjemnościach światowych. Jeszcze się tam od czasu do czasu czyta jakąś książkę pożyteczną, nawet umiejętną, ale już rzadko

do końca, gdyż całe tuziny powieści i romansów czekają, żeby je coprędzéj pochłonąć.

I wtedy w oczach familii jest już młoda osoba skończoną po odbytém wychowaniu (?), które przedstawia trzy odrębne epoki: pierwsza, gdzie bony i guwernantki zabijały czas bądź czém, byle było widać, że dziewczynka ma prawie cały dzień zajęty; druga nagła, gwałtowna, zatrudniona aż do zmęczenia, do manii; nakoniec trzecia, kiedy się popada w bezczynność umysłową a zajmuje wcale innemi rzeczami: koafurą, tańcami, powieściami modnemi i t. d. I jakież owoce téj edukacyi? streśćmy je: *Mlle Elisa de Besançon* nauczyła elewkę pronuncjacyi pociągłéj, śpiewnéj, trochę nosowéj. Świat opowiada przez grzeczność lub hipokryzyją, że panienka ma w rozmowie *quelque chose adorablement nonchalante*, coś arystykratycznego. *Mlle Fifine* ze Strasburga lub Lozanny uczyła gramatyki francuzkiéj — a jednak pozostało tam mnóstwo błędów stylu, a nawet ortografii. *Mlle Berta* z Drezna albo Brukseli uczyła muzyki. Drobne paluszki nabrały giętkości, stać je na efekt, ale duszy tam niema. Literatura, historja gromadziły się naprędce w dobrze uposażonéj pamięci i wyobraźni, ale bez podstawy, bez porządku, mnóstwo idei ale poplątanych i zabłąkanych, najrozmaitsze zdania, ot tak sobie na ryzyko. Oczywiście, że język, historja, literatura, przyrodoznawstwo krajowe pozostało prawie zupełnie zapomniane, zaniedbane i to z braku czasu i z braku ochoty. I trzeba potém w towarzystwie unikać pilnie rozmów o tych przedmiotach, bo to żenuje, że się o tém prawie nic nie wie; aż z czasem dojdzie się do tego, że się afektuje lekceważenie dla wszystkiego co krajowe.

I tak dla umysłu i serca nie zrobiono nic, dla praktycznego życia równie tyle. Zapytajcie o obowiązki, o gospodarstwo, poruczcie jakie sprawunki, dajcie zrobić jaki obrachunek domowy — z wszystkiego nic.

I niech nikt nie myśli, że to obraz przesadzony, obraz z dawniejszych lat. Mówię ja to wszystko z własnego doświadczenia. Wychowanie tak luźne, tak nieodpowiednie potrzebom kraju, obowiązkom sumienia, tak krzywdzące naturę ludzką — jest do dzisiaj jeszcze prawie ogólném u nas, a zwłaszcza w Kongresówce. Słyszałam sama nieraz matki, osoby dystyngowane, mówiące wobec swoich synów i córek: „że w polskiéj literaturze niema nic, coby wartało czytać, dobrych książek tak mało, że niema o czém mówić; po co się kłopotać, mając wszystko co potrzeba po francuzku lub niemiecku“. — Niech nikt mnie nie posądza, jakobym zapoznawała i chciała wygnać literatury zagraniczne — jest to wspólne dziedzictwo ludzi. Ale tak, jak oddawna przyzwyczajono się pogardzać materyalnemi wyrobami krajowemi, sprowadzać wyprawy z Wrocławia i Paryża; tak samo dzieje się i z wyrobami umysłowemi. Błąd ten skrzywia całe wychowanie, a owocem jego są następnie wszelkie kwasy, niesnaski, niesmaki i bezład w pożyciu domowém.

(Ciąg d. nast.)

CACKO.

(POWIEŚĆ)

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Ciąg dalszy.)

Pani Podbylska była jéj pierwszą nauczycielką, od lat sześciu do ośmiu jéj dziecinnego wieku. Potém za mąż poszła, za jakiegoś urzędnika z magistratu — i oboje pracowali jak mogli. Ewelina była przywiązana do niéj, przechowała wdzięczną pamięć, a będąc w Warszawie, odwiedzała ją niekiedy. Dziś szczególną uczuła potrzebę, by w jéj przyjazném wypłakać się objęciu.

Kareta zatrzymała się na Podwalu, panna wysiadła, mając zapuszczoną gęstą zasłonę, i wbiegła po ciemnych wschodach na drugie piętro. Zadzwoniła — i schludna otworzyła jéj dziewczyna.

W pierwszym pokoiku był stół do obiadu nakryty.

Przy oknie dwa dziewczątka siedziały: jedna robiła pończochę, a druga uczyła się wokabuł francuzkich. Obiedwie poskoczyły ku niéj.

— Dzień dobry Józinko! Jak się masz Dosio? — wymówiła, całując jednę i drugą — a czy jest mama?

— Jestem, i cieszę się serdecznie! — zawołała, ukazując się z drugiego pokoju kobieta lat średnich, ujmującego wyrazu.

Ewelina pobiegła ku niéj i uścisnęła ją serdecznie. Weszła z nią do małego saloniku i drzwi za sobą zamknęła.

— Och moja droga, jedyna! rzuciła się, z wybuchem długo tłumionego płaczu, w objęciu swojéj dawnéj nauczycielki. — Smutno mi na świecie!...

— To i cóż takiego? Lineczko moja, opamiętaj się.

— Straszniem zraniona... a w tém jest prawda, bolesna prawda!... Słuszność zupełna!

— Cóż się stało, dziecko kochane, powiedz? — pytała pani Podbylska z współczuciem.

— Bardzom zbolała.

— Droga, kochana Lineczko! — posadziła ją na kanapie i utuliła, jak dziecko.

— Cacko! cacko salonowe! — powtarzała młoda dziewczyna, łkając — cacko, naprawdę!... Słuszność!... Wielka prawda! — załamała ręce, a potém opowiedziała wszystko.

— Ale jakaż złośliwa ta panna Ludwika! — wyrzekła pani Podbylska.

— Ona nie wiedziała pewnie o ile mnie zrani.

— Takich rzeczy nie powtarza się nikomu, ktokolwiek względniejsze ma uczucie. Złośliwa!

— Jeżeli złośliwa... to wszelako wielką uczyniła mi przysługę.

— Niepowinna była powtarzać ci tego!

— A jednakżeż lepiéj, że wiem o wszystkiem!... Lepiéj że wiem, iż **cackiem** tylko jestem!... Lepiéj, o lepiéj!... Moja najdroższa, jedyna! — i splotła dłonie z boleścią — babka jego zupełną ma słuszność: jam istotnie do niczego!... Ale czemuż mnie tak wychowano, nieszczęsną? Czemuż zaniedbali mnie pouczyć, cokolwiek w życiu powszedniém niezbędném jest dla kobiety?... Czemuż ze mnie lalkę zrobili?... **Cacko!**... Och, ma słuszność pani prezesowa, jam **cackiem** tylko!... Jestem dzieckiem rozpieszczoném, zepsutém, tęczą **salonową!**... Och, czemuż mnie tak wychowali! Tożże ja naprawdę nic nie umiem i nie znam się na niczém!... Dziś mi się oczy otworzyły, przejrzałam, poznałam sama siebie... i przeraziłam się okropnie. Dziś wszystko rozumiem, pojmuję!... O, jakżem nieszczęśliwa! — załamała ręce i znowu zalała się łzami.

Pani Podbylska płacząc, tuliła ją w objęciu.

— Masz znaczny majątek, dziecko — wymówiła, chcąc ją pocieszyć — dla tego salonowe dano tobie wychowanie.

— A postradałam to, czego mi żadne skarby świata okupić nie potrafią! Dano mi blichtr!... Czczość życia!... Jedna chwila pouczyła mnie wszystkiego. Przejrzałam, jak gdyby złudna zasłona odrazu z moich była spadła oczów. Czemuż mi taki los zgotowano?!... **Cacko! cacko!** — powtarzała z goryczą, splecione załamując dłonie. Niechajbym dziś straciła majątek, to i cóżbym poczęła?... Och, ja sobie nawet i chleba ukroić nie umiem!... Nie, nie!... I dla tego **on** mnie porzucił! — jęk bolesny, tłumiony wyrwał się z jéj piersi — dla tego mnie porzucił, że **cackiem** jestem tylko!... **Cackiem!** Och!...

— Uspokój się, dziecko! Wszystko będzie dobrze — pocieszała ją poczciwa pani Podbylska.

— To co się stało, już się odstać nie może.

— Bóg dobry, a ty takim jesteś aniołkiem!

— Kochana moja, droga pani, kiedyś tam uczyłaś mnie robić pończochę dla lalki... potém zarzuciłam druty, i skończyło się wszystko, bo nikomu ani przyszło na myśl, bym pończochę robić umiała!... Kiedyś także dałaś mi igiełkę do ręki, bym dla lalki sukienkę uszyła, ależ i to w kąt poszło, a mnie postrojone kupowano lalki i gotowe dla nich sukienki... i co dni kilka nowe!... Kochana, droga pani! — i młoda dziewczyna złożone dłonie błagalnie wyciągnęła do niéj — droga moja, kochana! Pouczaj mnie wszystkiego co tylko umieć winna kobieta! Pouczaj mnie szyć! Pouczaj mnie prać! Pouczaj mnie gotować! Będziesz ze mnie chętną i gorliwą miała uczennicę. Dnia każdego będę tu przybywała na godzin parę... O! wszakżeż mi tego nie odmówisz!

— Cokolwiek zechcesz, wszystkiego cię pouczę! Uspokój się tylko, dziecko. Jesteś dobrą, to i szczęśliwą będziesz.... I **on** nawróci się pewnie.

— Nie!... Nigdy zapewne!... To już zerwane na zawsze.... Pragnę tylko szacunku jego, i ażeby pani prezesowa odwołała to, co o mnie wyrzekła.... Z nim już skończyło się wszystko! — wymówiła Ewelina głosem przycichłym, tłumiąc w piersi westchnienie nadziei.

— To więc i nie kochał ciebie!

— Jednakże... przeczuwałam to sercem — poszepnęła zaledwo dosłyszanym głosem, patrząc się w ziemię.

— A jeżeli ciebie nie kochał, to i zapomnij o nim!

— Nigdy!... Nigdy nie pokocham innego!... I nigdy za mąż nie pójdę!... **Cacko** potrafi być stałém. **Cacko** pokaże czém być potrafi. A łacniéj to pójść prostym torem, którym powiodą i poprowadzą, dopóki pewną stopą po nim pójść nie zdołamy, aniżeli z bezdroża złudnego, ścieżek labiryntowych, kwiecistych, przerzucić się na drogę cierniami zasłaną, którą **życiem** zwiemy. Jam dotąd nie żyła, bom żadnego nie zaznała trudu, przeciwności żadnéj i bólu. Dziś życie poznałam... i cierpię. Och Boże mój, Boże! — zacisnęła dłońmi oczy i łzy jéj ulżyły.

Pani Podbylska uznała słuszność jéj uwag, a nie wiedziała czém ją pocieszać.

— **On** tak jest zacny, szlachetny! — zaczęła Ewelina znowu — tyle w nim serca!... I **on** mnie kochał!... Ależ babka jego słuszność miała! Ucałowałabym jéj ręce w téj chwili... i żalu nie mam do niéj... **Cacko!** A jednakże, jednakże jabym wszystko potrafiła uczynić z siebie.... i potrafię!... Pokażę to. Droga, ukochana pani, chciéj mnie pouczyć! — i tuliła się w jéj objęciu z ufnością dziecka.

Pani Podbylska przyrzekła wszystko uczynić.

Zwolna, pozorowo, uspokoiła się biedaczka, na wskróś wszelako zbolała. A gdy pan Podbylski na obiad z bióra powrócił — to ich pożegnała z uśmiechem. Pod tym względem dobrą odebrała **edukacyą**.

— Jutro i dnia każdego przybędę — poszepnęła pani Podbylskiéj raz jeszcze, i tém przedsięwzięciem skrzepiona, spokojniejsza po wschodach zbiegła.

2.

Warszawa pohulała sobie. Codziennie świetne bywały wieczory i bale, koncerta, lub wystawne opery — z których wychodząc, zbierano się znowu w różnych domach, by aż do dnia potańczyć. Poranki muzykalne bywały urządzone z artystycznym smakiem, a wykonanie nic do życzenia nie zostawiało — bo Warszawa ma znakomitych artystów i artystki, i pomiędzy dyletantami.

Ewelina w tém wszystkiém udział brała niezmordowany — niezmordowany, bo bywała wszędzie i tańczyła na zabój, strojna zawsze i czarująca — bledsza niby, jak zwykle, ale z uśmiechem na ustach. A nikt

nie zajrzał, co tam w biedném działo się sercu — i sądzono, że pieściwy kwiatek tylko w tém cieple salonów czuje się szczęśliwym. Nikt nic nie wiedział prócz jednéj pani Podbylskiéj. Nikt nie domyślał się niczego, bo silna wola dziewczęcia pokryć wszystko umiała. Dnia też każdego jeździła na ulicę Podwal i bawiła tamże po godzin parę. Matka nieco dziwiła się temu, ale ją córka lada odpowiedzią zbywała. A gdyby tam na drugie piętro, był kto zajrzał niespostrzeżony, to i dopierożby się zadziwił, widząc ono cacko salonowe pracą zajęte i krzątające się pospołu z żoną biednego urzędnika. Dobra wola czegóż nie dokaże?

— Mama nic nie wie, jak jestem zraniona i ile cierpię, i też nie domyśla się niczego — opowiadała swojéj nauczycielce — nic jéj o tém nie mówiłam, bo to dla niéj przykrym byłoby wyrzutem. Ale wpłynę, o ile potrafię, na dalsze wychowanie Wandzi i Milki, by nie cierpiały tak, jak ja dzisiaj, by nie były znowu cackiem tylko, próżną tęczą salonową.

— Ale czyż mamę nie dziwi, że pan Zdzisław nie wraca?

— Wspominała parę razy, a spodziewa się, że on zjawi się późniéj. Zresztą.... zadowolona, że mnie zawsze rój wielbicieli otacza — i westchnęła.

„To jéj próżności pochlebia!“ — pomyślała sobie pani Podbylska.

Ewelina zrana szyła sukienki i bieliznę dla Józi i Dosi, lub wyprasowała kołnierzyk albo czepeczek dla pani Podbylskiéj. Popatrzyła się, jak tam Kasia w kuchni gotuje — i sama, niby żartem ręki dokładała często, że aż dziewczyna głową kręciła z podziwu nad tą fantazyją pańską. A wieczorem występowała w świetnéj toalecie paryzkiéj i znowu była cackiem — znowu tęczą salonową.

Czasem przystrojona w róże, koronki i perły, rzuciła się na fotel — gdy matka stroiła się jeszcze — skłoniła czoło, jak gdyby jéj głowie zaciążyły one lekkie kwiateczki paryzkiego wyrobu — zadumała — lica pobladły — i chmurka młode przysłoniła oblicze. Zawiała woń przeszłości — wspomnienie! — i odurzyła biedną.

— Co tobie, Linko? — zapytała matka, wciągając białe rękawiczki, albo zakrapiając wyskokiem *Jackey-clubb'u* kosztowną, batystową chusteczkę — niekiedy, bo i nie zawsze tę smutną zadumę córki spostrzegła.

— Co tobie, dziecko? — musiała czasem po raz drugi powtórzyć.

— Nic mi, mamo kochana — ocknęła się niby nagle i różą jéj lica zakwitły — nic mi nie jest, droga mamo, tylko mnie te zabawy ciągłe już trochę nużyć poczynają.

— Tak ci się zdaje! — i pani Runowska podjęła piękny wachlarz z gotowalni.

— „Tak ci się zdaje!“ wymówiła matka, nie widząc żalu w sercu córki, bo w tym świecie, w którym żyła, nieraz zdaje się wszystko.

Na jedném zebraniu wieczorném zajmowano się muzyką, zanim rozpoczęły się tańce, śpiewała i Ewelina, ale jakkolwiek usilnie proszona, pod żadnym warunkiem Kasiuleńki zaśpiewać nie chciała: on kiedyś lubił tę śpiewkę — a dziś te dźwięki w jéj zamarłyby piersi.

Jeden z młodych paniczów zasiadł do fortepianu, przerzucił kilka stronnic Śpiewnika Moniuszki — dźwięczna poprzedziła przegrywka i zaśpiewał:

„Matuleńko on nie wróci!
On pojechał w obcą stronę.
On zapomni — on porzuci
Biedne dziewczę opuszczone“....

Szmer nagły w salonie przerwał śpiewakowi. Panie w jedno skupiły się koło.

— Cóż się stało?

— Panna Ewelina zasłabła.

— Zemdlała!

— Za gorąco w salonie.

— Śpiew ją zmęczył.

— Może lody zaszkodziły.

— Ona taka nerwowa.

— Stanik za ciasny — szeptały sobie panie na ucho, zadowolone, że taką wynalazły przyczynę — a raczéj przymówkę.

Wyniesiono biedne dziewczę do odległego pokoju. Po chwili przyszła do siebie — i półgłośnem, kurczowém wybuchnęła łkaniem.

— Doktora! — wołano.

— Proszku sodowego!

— *Des sels!*

W półgodziny potém zajechała kareta pani Runowskiéj — i powiozła ją do domu.

Całe towarzystwo dużo okazało współczucia. Mianowicie też młodzież, która aż ze wschodów zbiegła, pragnąc w czémkolwiek być pomocną. Panie i panny wyglądały przez okno.

Żałowano — rozprawiano o przypuszczalnych powodach tego zemdlenia i spazmów — potém.... zagadano o czémś inném — i zapomniano. Muzyka skoczną zadźwiękła polką — i tańczono aż do rana.

Około południa zapytywano licznie w mieszkaniu państwa Runowskich o zdrowie panny Eweliny. Odpowiedziano: że jest cierpiącą — i przez dni parę piękna panna Runowska pozostała niewidzialną w świecie balującym.

Pan Runowski ciągle zajęty i zamyślony — a mówiono, że nowe kombinuje spekulacyje, — wyje-

chał na początku lutego do Gdańska. W niczém to wszelako nie przeszkadzało wieczorom wtorkowym, które licznie odwiedzano zawsze — a przyjęcie ponad wszystko wykwintném było. Co więcéj jeszcze utwierdzało opiniją, że pan domu wielkie robi interesa — zwłaszcza téż, gdy posłyszano, że z Gdańska pojechał do Hamburga, a ztamtąd do Londynu.

Nadszedł wielki tydzień. Pan Runowski powiadomił żonę, że na Wielkanoc nie powróci jeszcze — a pomimo to wystawne przysposobiono święcone.

Panna Ewelina zaproszoną została, by w wielki piątek i sobotę kwestowała w kościele Ks. ks. ††, pod opieką pani marszałkowéj — i nie chciała i nie mogła od téj obowiązkowéj wyłamać się posługi.

Rozłożono bogaty dywan z salonu pani Runowskiéj; ustawiono szafirowym aksamitem pokryte fotele. Na stoliku przysłoniętym perską tkaniną, przerabianą złotem, błyszczały ciężkie, czwororamienne świeczniki srebrne i wielka taca, arcydzieło sztuki złotniczéj.

Kwestarki zasiadły: pani marszałkowa rumiana i z miną wielce zadowoloną, Ewelina bladziutka — ale prześliczna w czarnym aksamicie i czarnych koronkach.

Młodzież garnęła się do stolika. I dla nich niepotrzebne były uderzania w tacę, by oddźwiękiem srebrzystym przypominać o datek.

Młody, przystojny hrabia Atanazy skłoniwszy się kwestorkom, rzucił kilka sztuk złota, i za krzesłem panny Runowskiéj przystanął. A baczni widzowie już go i zaraz jéj mianowali konkurentem — niektórzy nawet utrzymywali, że z panną już jest p o s ł o w i e. Ile, że ojciec jéj gdzieś tam znowu nowe miliony zbija.

W drugie święto było u pani Runowskiéj liczne towarzystwo na święconém jajku — i o wystawności wielkiéj po całéj rozpowiadano Warszawie.

Po przewodniéj niedzieli wyjechała cała rodzina na wieś, niedoczekawszy się powrotu pana Runowskiego.

Wśród rozlicznych wizyt pożegnalnych, oddały, pani Runowska z córką, także k a r t y swoje u pani prezesowéj, która jeszcze przed niedzielą palmową była na wieś wyjechała do wnuczka.

Ewelina z ciężkiém sercem pożegnała Warszawę, nie dla tego świata wielkiego, w którym obracała się jako c a c k o uwielbiane — lecz żal jéj było pani Podbylskiéj. A może i tliła się na dnie jéj duszy jeszcze jakaś iskierka nadziei, że pan Zdzisław się zjawi.

Pani Runowska na czas lata — kilkanaście do siebie zaprosiła osób, ażeby i na wsi zawsze w eleganckiém otoczeniu pozostać. Opowiadano, że wielkie do różnych zabaw kazała poczynić przyrządy: miał być teatr amatorski, obrazy żyjące, koncert — a nawet i maskarada jakaś.

(Ciąg dal. nast.)

Nie ideały.*)

Senta l'aura mia anteca.
(Petrarca.)

I.

Więc był na świecie jeden wieczór śliczny.
I gwiazdek parę na pogodném niebie,
I słowik śpiewał jakiś idylliczny
Romans — i róże były i jaśminy
I on — i ona. On rzekł: kocham ciebie.
A ona rzekła: kocham cię jedyny,
I jedna łezka, co spadła z powieki,
Mówiła: kocham — na wieki — na wieki!

Słowik się uczył gołębiéj rozmowy
Od nich — a oni słowiczéj sielanki....
Księżyc jak zwykle bardzo romansowy,
Dyskretnie w chmurki owinięty białe,
Śmiał się po cichu z przysięgi kochanki,
I widząc nawet jak jéj rączki małe
Pieściły jego rozmarzoną głowę,
Śmiał się przez białe chmurki ażurowe.

I była jedna rozstania godzina
I jeden uścisk, łezka i westchnienie,
Smutny kochanek i smutna dziewczyna,
Bo się na długo rozstając żegnali.
Słowik co słyszał ich każde marzenie,
Żalił się różom i błękitnéj fali;
A fala skargi niosąc w świat daleki,
Echem mówiła: na wieki — na wieki!

Pomnisz? wszak prawda był wieczór majowy,
Musisz pamiętać jaśminy i róże....
Na cóż się smucić? — słowik sielankowy
Przestał już śpiewać w poświęcanym gaju,
Błękitne fale zmącił wiatr i burze,
A ja przestałem śnić dawno o raju
I pożegnałem te piękne marzenia,
Choć tyś mówiła wtenczas — do widzenia! —

A mam od ciebie listek cyprysowy,
Daruj — wspomnieniem obrazić nie chciałem,
Widać zanadto byłem romansowy,
Albo tyś dla mnie nadto dobrą była,
Żeś mnie słuchała, gdy się spowiadałem
Z marzeń — na których czas pisał — mogiła!
Miłość czasami wielkie cuda stwarza,
Pójdź! klękniem jeszcze u progu cmentarza! —

*) Część pierwsza tego poematu była już drukowaną w „Tyg. Illustr." i „Kuryjerku Pozn.", umieszczamy ją jednak tu dla tego, że stanowi całość nierozdzielną z drugą częścią przesłaną nam przez autora — a która dotąd nigdzie publikowaną nie była. (P. R.)

Patrz! pierwszy napis starty — to wspomnienie!
Nie smuć się luba — to nie puszczyk woła,
Jeśli cię straszą cmentarne kamienie,
Albo złocone snów naszych napisy,
Zatrę je wszystkie — lecz ty bądź wesoła,
Niech cię nie smucą płaczące cyprysy,
Drugiemu jeśli dasz pamięci kwiatek,
Daj mu — nie cyprys smutny lecz bławatek....

Dziś, gdy cię inne przysięgi związały,
Zapomnij proszę, płoche przyrzeczenie....
Niech więc twą drogę znaczy Anioł biały!
Ja błogosławię twój mirtowy wianek,
I każde moje o tobie wspomnienie,
Wieczór ów piękny — i róże i ranek,
I śpiew słowiczéj piosnki sielankowéj,
Ja błogosławię — i wianek mirtowy!

A miałaś łezkę wtenczas ty w lazurach
Swojego oka — pomnisz? znów był ranek,
Słońce wschodziło jutrzenką na górach,
Jakby umyślnie, bym ja widział ciebie,
Żeś najpiękniejsza na ziemi z niebianek....
Bym ja przy tobie śmiał marzyć o niebie!
Abym uwierzył, że wszystko złudzenie,
Nawet ta łezka smutku i westchnienie!

Próżno dziś wschodzi jutrzenka różowa
Budzić woń kwiatów z nocnego uśpienia,
I echo pieśni powtarza dąbrowa, —
Przebrzmiałych tonów echa nie powtórzą,
I nie przyniosą twojego westchnienia.
Jednak, gdy spadnie liść zerwany burzą,
Myślę, że idziesz i czekam — daremnie.
Wiatr co je strącił, naśmiewa się ze mnie!

Daruj, żem wierzył — tyś złamala wiarę,
Zdeptawszy kwiaty poranków majowych,
Długo złudzeniem przepełnioną czarę
Do ust chylilem — wszak trucizna była
Na dnie téj czary — i na koralowych
Ustach — Patrz! gwiazdy chmura zasłoniła,
Słowik nie śpiewa — tak ciemno na niebie,
Róże i jaśmin smutne. Żegnam ciebie!

(Ciąg dal. n.)

Z PRZYRODY.

Djamenty.

Zapatrywać się na djamenty i inne klejnoty li tylko jako na przedmioty do ozdoby służące, byłoby błahą; lecz nabiera to więcéj interesu trzymy, jak ważnym są one przedmiotem w handlu, jakie przysługi oddają w optyce i jakie miejsce zajmują w nauce kruszców i mineralogii. Tém więcéj zasługuje to na uwagę, że te tak kosztowne kamienie, z których większe takiemi olbrzymiemi sumami opłacać trzeba, składają się z zwykłych części, których na całéj ziemi pełno się znajduje. Djament mający 125 karatów wagi, ma wartość przeszło dwóch milionów reńskich w. a., a wartość wagi węgla, z którćj się składa, nie warta nawet najdrobniejszéj sztuki monety miedzianéj, będącéj w użyciu. Mimo swych promieni, któremi w różnych kolorach błyszczy djament, nie jest on niczém więcéj, jak tylko czarnym brudnym węglem. Jeżelibyśmy jednak zważyli, jakie przysługi oddaje nam węgiel, to nas i nie zadziwi zestawienie tych tak na pozór różniących się przedmiotów natury. Bo też i zasługi węgla są znaczne i więcéj one w porównaniu znaczą, jak ta błyszcząca sukienka szczęśliwego dziecka natury. A chociażby się najbardziéj kto o to gniewał. to zawsze djament nie jest niczém więcéj, jak zwykłym węglem.

Nigdzie lepiéj nie można zastósować tego przysłowia „ostateczności się schodzą“, jak w tém miejscu. Różnica na pozór niby wielka. Z jednéj strony węgiel czarny i nieprzeźroczysty, z drugiéj djament tak czysty jak kropla źródlanéj wody, i przez łamanie światła błyszczy przerozmaitemi kolorami; a przecież obaj jedném są i tém samém. Jakim sposobem to rozpoznano? Dziś to jest już wiadomą rzeczą, ale zanim to osiągnięto, setki lat minęły.

Djament był już u starożytnych znany, jego nazwa pochodzi z greckiego. Nazwano go *adamas* „niezniszczalny“. Więcéj nie łamano sobie nad nim głowy, dano mu nazwę i na tém poprzestano. Pierwszym dopiero był Newton, który z proroczym duchem wyrzekł w r. 1685: że djament spalić można, bo tenże z pomiędzy wszystkich ciał promienie światła najbardziéj łamie. Potwierdzenie téj teoryi odbyło się w roku 1694 przez akademików florenckich, którzy na żądanie Wielkiego Księcia Cosmosa III., kilka przez niego na tę próbę przeznaczonych djamentów spalili. W krótkim czasie pod wpływem silnego ognia, znikła własność niezniszczalnego, pozostalo tylko troszkę popiołu. Temu dokonanemu już czynowi zaprzeczył Kunkel, chemik, używający naonczas powagi, utrzymywał, że jego ojciec, który w służbie księcia Fryderyka Holsztyńskiego zostawał, napróżno szukał sposobu robienia złota, palił djamenty bez skutku przez przeciąg trzydziestu tygodni.

Za czasów Franciszka I. przekonano się przypadkiem o możności spalenia djamentów. Pewien oszust wmówił w cesarza, że można djamenty małe spalić na większe, było to w r. 1751. Włożono pare małych djamentów i rubinów w wartości 6000 złr. w. a. i przez dwadzieścia cztery godzin wystawiono je na działanie silnego ognia. Ale zamiast spodziewanego wielkiego

djamentu, zniknęły małe, a pozostały tylko rubiny. Co się z djamentami stało, nieumiano sobie tego wonczas wytłomaczyć. Wprawdzie d'Arcet w porcelanowym piecu palił djamenty, ale kiedy tę próbę na żądanie akademii paryzkiéj powtórzono, pozostał djament nienaruszony mimo silnego ognia. Takie sprzeczności rozdrażniły chemików, a że i bogaci mieli w tych tak kosztownych próbach upodobanie, połączyło się wszystko, by zwalczyć „niezniszczalnego“, zwycięztwo nie było jednak rzeczą łatwą.

Jednę z najważniejszych prób odbył Macqueur w r. 1771., pewien amator nienależący do kółka uczonych, ofiarował do tego piękny kamień. W przytomności licznego zgromadzenia włożono djament w gliniane mocne naczynie i wystawiono na działanie ognia, podniecanego wiatrem. Po dwudziestu minutach kamień się rozpalił, a po dalszych trzydziestu zajrzano do naczynia, djament zniknął. Przy téj sposobności tłomaczył Macqueur, że djament w ogniu nie ulatnia się jak kamfora, lub sole amoniaku, ale się spala. Ten tak nadzwyczajny czyn zainteresował cały Paryż. Mimo zniknięcia djamentu o czém z przytomnych nikt wątpić nie mógł, znalazło się pełno niedowierzających. Jubilery i handlarze drogich kamieni, wyśmiewali chemików i tém do nowych prób ich podsycali. Po części takie wyzwanie miało ten powód, że obawiano się, aby majestat niezniszczalnego, nie stracił swéj wartości; po części niedowierzano, z powodów praktycznych. Zwykły sposób czyszczenia plamistych djamentów był następny: sproszkowawszy węgiel, wkładano w naczynie razem z djamentem i wystawiano na działanie ognia. A choć często robiono podobne próby, nigdy jednak żaden djament nie zniknął.

Przy nowéj próbie, którą chemik Rouelle przedsiębrał, jubiler Leblanc z swymi przyjaciołmi był przytomnym. Dał on do téj próby kosztowny kamień, który już nieraz chciano spalić bez skutku, z warunkiem, żeby mu wolno było swego użyć sposobu. Przyjęto ten warunek. Rouelle kładł swe djamenty do tygla bez żadnych domieszek, Leblanc obłożył swój kamień mięszaniną węgla i kredy. Po trzytygodniowém wystawieniu na działanie ognia znikł, wszelkie poszukiwania były daremne. Zdumienie praktyków było wielkie, ale téż tém większa powstała walka. Zaraz wystąpił w szranki jubiler Maillard, z zaciętością jak Lavoisier opisuje, któréjby się i uczony nie powstydził. W przytomności Levoisiera wziął zaraz trzy djamenty, włożył razem z sproszkowanym węglem w glinianą fajkę, zamknął pokrywkę i oddał do włożenia w tygiel. Przez 4 godziny podtrzymywano ogień tak silny, że nawet piec pęknął. Takiéj próby począł się obawiać jubiler, zniecierpliwiony nie czekał ostygnięcia tygla, rozbił go na wielką pociechę żartujących sobie chemików, którzy mu doradzali, by co prędzéj w kominie szukał swych djamentów. Lecz radość ich nie długo trwała, wszystkie djamenty były nieuszkodzone, a zawstydzeni chemicy nowe zrobili doświadczenie, że djamenty można tylko spalić, jeżeli powietrze ma do nich wolny przystęp.

Lecz na tém nie stanęły te naukowe doświadczenia tak kosztowne, chciano wiedzieć, co powstaje ze spalonych djamentów. W roku 1770 uważano ten szlachetny kamień za krzemionkan, czyli czystszy i twardszy kryształ górny. Chociaż możność spalenia djamentu zaprzeczała temu i Lavoisier w r. 1773 dał dowody, iż ze spalonego djamentu tak samo jak z węgla tylko kwas węglowy powstaje, to jeszcze w r. 1777 chemik szwedzki nazwiskiem Bergmann dochodził, czy djament jest krzemionkanem lub nie. A gdy próba okazała mu, że się myli, tak był oburzony, że wolał wynaleść nowy rodzaj ziemi, ziemię szlachetną *(terra nobilis)*, która to niby miała być głównym składnikiem djamentu. Bo jakżeż taki znakomity kamień porównywać z prostym węglem? Myśli takiéj nie można było przypuścić przy owoczesnych przesądach. Znajdują się tacy i dzisiaj, którzy nie mogą przebaczyć chemii, że tyle ozdób natury, do których słabe serce ludzkie, z takim zachwytem się przywięzuje, w proch obraca. Ale takie myśli nasuwa tylko bojaźn, że te urojone ludzkie przepychy dążą do końca. Jakżeby chętnie wielcy panowie chcieli dowieść, że z innéj powstają gliny, jak ich bracia bliźni, którym szczęście, starożytni już go nazywali ślepém, mniéj dopisało; a jednak takim samym podpadają przypadkom, takie same mają potrzeby i przy ostatecznéj próbie czyli śmierci, która najlepszym jest dowodem równości, tu nie pomaga ani bogactwo, ani władza, ani poważanie. To wszystko nie przynosi im korzyści.

Nie chcemy nudzić czytelniczki dłuższemi wywodami, któremi jeszcze długi czas chciano bronić téj urojonéj pychy djamentu. To tylko musimy powiedzieć, że ostatnim, który usunął wszelkie dalsze o tém wątpliwości, iż najkosztowniejszy ten przedmiot na ziemi tyle znaczy, co i najpospolitszy, był chemik Dawy w Londynie w r. 1814, a zdarzenie chciało, że te dowody dawał w laboratorium tém samém i przy tym samym piecu, przy którym najpierwszy djament był spalony. Zarazem zbił on twierdzenie panów Biot i Arago, którzy 1806 r. rozpowszechnili, że djament w $^1/_4$ swéj wagi zawiera wodoród. Odtąd w chemii djament mimo swéj kosztowności, znaczy tyle, co węgiel zwykły.

(Ciąg dalszy nast).

ROZMAITOŚCI.

Odczyty publiczne. — Liczniéj może niż na pierwszy, zgromadziła się publiczność na drugi odczyt, który miał p. Szujski. Znany historyk-poeta wytłómaczył się najprzód publiczności, co go skłoniło do obrania sobie téj epoki zamętu (Czasy Leszka Czarnego, Przemysława I. i Władysława Łokietka), za przedmiot do odczytu. Chciał bowiem dać pokoleniu obecnemu złamanemu nie-

dawnemi wypadkami pocieszający obraz z przeszłości, w któréj również istnienie Polski bardzo się zachwiało, a jednak stanęła ona potém świetnie i silnie. Coś podobnego robił Lelewel i Szajnocha, w epokach podobnych — idzie więc w ślad za nimi w tym względzie. Odczyt więc miał być rodzajem politycznego lekarstwa. Szkoda tylko, że p. Szujski zamiast owe czasy zagmatwanych zdarzeń rozplątać i ugrupować i jasno oświecić, by przez to zrobić je dostępnemi i zrozumialszemi uwadze słuchaczów — obciążył swój odczyt mnogością dat i nazwisk ciekawych dla badacza i historyka, ale nie wiele zajmujących szerszą publiczność. Niewprawa w mówieniu przy większém zgromadzeniu utrudniała także nie mało wykład. W końcu jednak p. Szujski niechcąc poprzestać na suchych datach, chciał ożywić swój wykład zastosowaniem wypadków o przeszłości do obecnéj chwili — a mianowicie: że tak jak tam działano powoli, a bieg spraw poruczono opatrzności, tak i my powinniśmy uczynić; że powinniśmy równie jak ludzie tamtych wieków nie tracić nadziei, jeno pracować ciągle, aby po nas równie tyle zostało, co po nich. A zostało po nich kilka kościołów i klasztor ś. Kunegundy w Sączu, przez co miasto Sącz jest moralne i polskie i „wydaje posłów, głosujących zawsze z większością polską „

W poniedziałek Dr. Kremer mówił o „miłości“, (wywód filozoficzny.) Przedmiot zbyt ponętny, aby nie miał zwabić licznéj publiczności. Poczynając od tego, że miłość jest wrodzoném nam uczuciem, przeprowadził Dr. Kremer z pomocą metafizycznego rozumowania badanie tego uczucia na różnych stanowiskach, jak ono stopniowo wznosi się do miłości narodu, ludzkości, do idei miłości Boga. Najwięcéj zajmującemi dla publiczności, były ustępy, w których Dr. K. przedstawiając miłość, jako będącą wzajemném uzupełnieniem się, zastanowił się nad miłością dwojga kochanków, nad miłością rodzinną i stanowiskiem niewiasty, jako węgła domu, a następnie tłomaczył, dla czego miłość jest tak niewyczerpanym przedmiotem dla sztuk pięknych; są bowiem sobie pokrewne, i tu i tam jednoczą się w harmonią piękna i dobra, dwa pierwiastki: idealny i zmysłowy; to zjednoczenie tworzy albo sztuki, albo szczęście rodzinne; albo piękno, albo cnotę, które są siostrami.

O odczytach Drów Łepkowskiego (d 22) i Kuczyńskiego (w piątek. — 29. marca) w następnym numerze.

— Wyszła wreszcie we Lwowie tak dawno oczekiwana biografia i ocena dzieł Juliusza Słowackiego, przez Ant. Małeckiego, 2 tomy. Mnóstwo szczegółów z życia poety rzucających nam jasne światło na wiele niezrozumiałych dotąd ustępów, podaje nam pan Małecki, czerpiąc je przeważnie z korespondencyi Juliusza do Matki. — Część krytyczna zaleca się wielu głębokiemi poglądami. Dziwić się tylko trzeba, dla czego p. M. tak usilnie się usprawiedliwia z powodów, które go skłoniły do pisania biografii jednego z największych wieszczów naszych? Nam nie usprawiedliwiać się z tego, ale owszem rumienić się należy, że gdy inne narody posiadają biografie i mają szczegóły życia mierniejszych nawet pisarzy — my o życiu trzech najznakomitszych naszych geniuszów tak mało wiemy.

Możemy Czytelniczkom naszym polecić tę książkę jako wielce zajmującą i jako jedno z najlepszych dzieł w literaturze polskiéj, dzieło mające tak wysoką wartość, jak biografia Getego, przez Levesa.

— W zeszłą sobotę dawał p. ***Sokołowski* koncert na gitarze.** O grze jego nie będziemy się rozpisywać, niechcąc powtarzać pochwał głoszonych już tyle razy przez dzienniki polskie i zagraniczne. W istocie trudno wyjść z podziwienia, słysząc taki wdzięk melodyi i taką wspaniałą harmonią, wydobytą z instrumentu zwykle lekceważonego. Inne części koncertu odpowiadały artystycznością tak znakomitéj grze, partyje fortepianowe odegrał bowiem p. Hofmann, a wykonanie partyi na mezzo-sopran i kontr-alt może się liczyć do najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek Kraków słyszał. Ulegając natarczywym oklaskom, została odśpiewaną (oprócz rzeczy objętych programem) pieśń „Do widzenia“ na mezzo-sopran, kompozycyi pani Grotger. Utwór ten piękny podamy w kwietniu naszym Czytelniczkom, prenumerującym nuty.

Gra p. Sokołowskiego wywołała u jednego z słuchaczów wierszyk okolicznościowy, który nam doręczono, którego jednak nie umieszczamy, gdyż dla opisu osobistych wrażeń zawsze tylko w albumie najwłaściwsze jest miejsce.

O publiczności (nieobecnéj, gdyż w sali było tylko doborowe grono) nic nie powiemy. Musielibyśmy bowiem utrzymywać jedno z dwojga: albo, że Kraków nie zna się i nie lubuje w muzyce o tyle, żeby jéj częściéj chciał słuchać (chyba muzyki grającéj na taneczne tempo) albo, że karnawałowe wydatki tak się dały we znaki, że już......... Ponieważ ani na jedno, ani na drugie nie chcemy się zgodzić, wolimy milczeć, jakkolwiek przykro nam jest, że pierwszy raz w podróży po Europie doznał p. Sokołowski zawodu, właśnie w Krakowie.

— Przybył nam **nowy, stały teatr**, który otworzył p. ***Stengel* w Stanisławowie.** Przedstawienia rozpoczęły się pod dobrą wróżbą, bo od „Mazepy“ J. Słowackiego. Znając zdolności i zacne chęci dyrektora, możemy tylko przesłać mu serdeczne „szczęść Boże“. Muza dramatyczna, którą tak w Krakowie jak i we Lwowie rozmaite kuratele krępują, znajdzie może tam swobodne siedlisko, a należy się spodziewać, że Stanisławów i okolica będą ją umieli pocześć jak należy.

— Pewien jegomość posiadał małżonkę, obdarzoną w wysokim stopniu cnotą skąpstwa. Wszelki dochód musiał przejść w jéj rączki, nic przepuściła ani centika. Pan mąż chcąc coś dla siebie zostawić, musiał chować po skrytkach, co mu się jednak rzadko udało, bo jéjmość zawsze odszukała. Jedyną rozrywką jaką mu pozwalała, było polowanie. Raz wybierając się na zające, nie zastał strzelby na swojém miejscu; robi alarm, gdzie strzelba? jéjmość mówi, że wziął ją kuzynek, aby w ogrodzie ubić dzikiego gołębia. Mąż biegnie do ogrodu — i znalazł go w chwili, kiedy kuzynek wystrzelił i sam się przewrócił, gdyż pan mąż nie mając już czasu krzyczeć, pchnął go tak silnie, chcąc przeszkodzić strzałowi. Lecz było już zapóźno. „O nieszczęsny chłopcze! krzyknął, zapłaciłeś za tego przeklętego gołębia 350 franków, jedyne, jakie zdołałem ukryć przed jéjmością w lufie téj fuzyi; szukajże ich teraz na wszystkie wiatry, a choćbyś i znalazł, to jéjmość zabierze!“ Jaki sens moralny z téj historyjki? Niechaj to sobie same Czytelniczki wywnioskować raczą i nam go nadeszlą, a wszystkie zamieścimy, choćby najprzeciwniejsze.

— Stary mistrz **Rossini**, który oddawna w Paryżu mieszka, gdzie sobie urządził życie z wszelkim możliwym konfortem, daje co sobota u siebie wspaniały wieczór. Po każdym takim wieczorze rozchodzą się różne anegdotki, szczegółki i dowcipy gospodarza. Prowadzi on ścisłą księgę wszystkich wydatków i zwykłém jego westchnieniem jest: „Boże, jakże szczęśliwi są ubodzy, że nie potrzebują wiele pieniędzy wydawać“. O Francyi powiada: że jest to kraj pięknych kobiet, maleńkich pastetów, dobrych win, słowem bardzo miły, i gdyby nie to, że niema kontr-altowych głosów, byłby doskonałym. O sobie mówi, że teraz tylko w fortepian się bawi. Wistocie codzień komponuje fantastyczne kawałki na fortepian, którym najdziwaczniejsze nadaje tytuły, i tak: Czterej żebracy: figi, winogrona, orzechy, migdały; cztery arcydzieła: masło, rzodkiew, sardelki, korniszony; zmora, etuda astmatyczne; romantyczna siekanka; umizg do mojéj żony; Ouff!; zielony groszek; francuska niewinność; walc torturowy; walc kulejący; walc budoarowy; walc sypialniany, warjacje o rycinowym olejku i t. d.

Nakładca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.